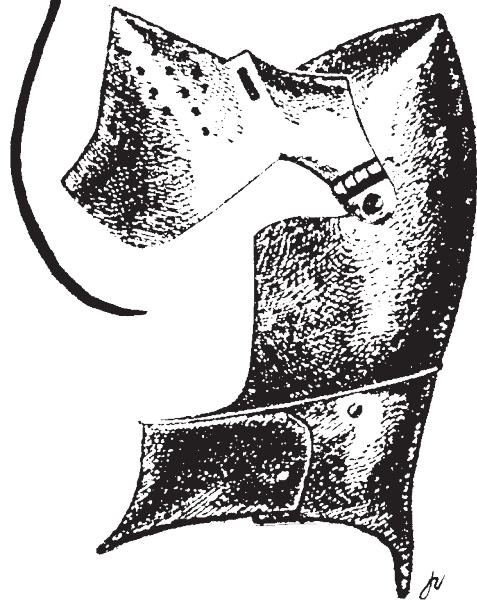


Zbigniew Nienacki

NIESAMOWITY DWÓR



Zbigniew Nienacki
Pan Samochodzik i niesamowity dwór

powieść z serii: „Pan Samochodzik i...”

© by Zbigniew Nienacki
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka: Monika Kanios-Stańczyk

Korekta i skład:
Lidia Kowalczyk, Aleksandra Różanek

Wydanie VI
w Wydawnictwie Literatura

ISBN 978-83-7672-376-1

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2015
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630-23-81
faks (42) 632-30-24
www.wyd-literatura.com.pl

* * *

– A może pójdziemy przez park? Będzie bliżej – zaproponowała Zosia.

– Teraz? Po ciemku?

– Słyszałeś o duchu we dworze i zląkłeś się.

– Nie boję się – wzruszył ramionami Antek. – Tylko jest naprawdę bardzo ciemno. W parku można wpaść na krzaki i podrapać się. A szosą, choć dalej, ale wygodniej. I muszę ci powiedzieć, że o żadnym duchu nie słyszałem. Zresztą rozsądny człowiek w duchy nie wierzy.

– I ty jesteś ten rozsądny człowiek? – zakpiła.

– Staram się być rozsądny – rzekł z powagą. – Pragnę zostać lekarzem, a lekarz nie powinien wierzyć w duchy.

– A ja będę aktorką – w rozmarzeniu powiedziała Zosia.

– Wiem, wiem, słyszałem to już wiele razy – mruknął Antek i nagle skręcił z szosy w rozwalającą się bramę parkową.

– Więc jednak chcesz iść przez park?

– A tak. Chcę ci udowodnić, że żadnych strachów się nie lękam.

– A ja się boję – westchnęła Zosia. Stanęła na szosie i ani myślała pójść przez park.

Antek chwycił ją za rękę.

– Chodź. Strach trzeba przełamywać. Inaczej popadniesz w kompleksy.

– Co to są kompleksy? – zdumiała się Zosia.

Lekceważąco machnął ręką.

– Za długo trzeba by ci tłumaczyć. To są sprawy naukowe dla lekarzy i psychologów. Jeśli się czegoś boisz, każdy lekarz ci poradzi: należy przełamać strach. Zresztą duchów nie ma. Pójdiesz ze mną przez park i sama się przekonasz.

Była ciemna, dżdżysta, listopadowa noc. Wracali ze szkoły, z próby kółka dramatycznego. Szkoła znajdowała się we wsi Janów, a oni mieszkali w Janówce, prawie trzy kilometry dalej, w lasach nad Pilicą. Stały tam trzy domy Funduszu Wczasów Pracowniczych. Ojciec Antka był kierownikiem ośrodka wczasowego, a matka Zosi prowadziła stołówkę.

Wieś Janów łączyła z Janówką asfaltowa szosa, która nieco dalej przeskakiwała rzekę po drewnianym moście. Szosa jednak robiła duży łuk, omijając ogromny park i stary dwór, ukryty w gęstwinie wielkich drzew. Dawny właściciel dworu, hrabia Bruśnicki, życzył sobie, aby szosa biegła wzdłuż skraju jego posiadłości i musiano go posłuchać, choć to przedłużało bardzo trasę i podnosiło koszty budowy drogi. Ale to były bardzo dawne czasy, wtedy park był szczelnie ogrodzony wysokim murem z kamienia i nikt nie miał tam prawa wstępu. Potem jednak, przed samą wojną, kupił dwór Joachim Czerski, z zawodu antykwariusz. Nie bardzo dbał o swoją posiadłość, mur wykruszył się w kilku miejscach i ludzie, którym było śpieszno z Janowa do Janówki, wydeptali ścieżkę przez dworski park.

Joachim Czerski zmarł przed tygodniem. Nie miał dzieci ani krewnych, więc jego posiadłość miało przejąć państwo. We dworze znajdowało się wiele zabytkowych przedmiotów, starych mebli, obrazów, cennych książek. W okolicy krążyła pogłoska, że w dworze Czerskiego zorganizowane zostanie muzeum regionalne. Na razie jednak władze ograniczyły się jedynie do zamknięcia okiennic, opieczętowania drzwi i okien.

– Mój ojciec bardzo by chciał, aby tu było muzeum – powiedział Antek. – Już dwukrotnie był w tej sprawie u władz wojewódz-

kich. Czy wiesz, jakie to miałyby dla nas znaczenie? Przyjeżdżałyby tutaj turyści, wycieczkowicze, nasze domy wczasowe byłyby pełne gości, a może zbudowano by jeszcze kilka nowych? Bo przecież tu jest pięknie, prawda?

– Tak – chętnie zgodziła się Zosia. Janówkę uważała za najpiękniejsze miejsce na świecie.

– A teraz tylko jeden dom jest czynny. Ludzie nie chcą tu przyjeżdżać na wypoczynek. Wolą Sopot lub Zakopane. W lipcu i w sierpniu zawsze jest więcej gości, ale przecież nie opłaca się utrzymywać takiego ośrodka tylko na dwa letnie miesiące. Może zlikwidują tutaj Fundusz Wczasów Pracowniczych? Tak mówił ojciec...

– Wiem – westchnęła Zosia. – I wtedy będziemy musieli opuścić Janówkę. Muzeum to byłaby wspaniała rzecz. A najlepiej, żeby w tym starym dworze straszyl jakiś okropny duch. Taki duch dla reklamy, dla turystów, rozumiesz? Czytałam, że w Anglii, jeśli zamek posiada ducha, to jest droższy, bo chętniej go zwiedzają. Wczasowicze mieliby jeszcze jedną atrakcję.

– Ach, to dlatego zaczęłaś o tym duchu. Chcesz wymyślić ducha?

– Ducha albo upiora. Jak wolisz. I nawet sama gotowa jestem odegrać rolę ducha.

– Potrafiłabyś?

– Mogę być i duchem, i taką, co widziała ducha i bardzo go się boi. Co ty sobie myślisz? Aktorka musi grać różne role. Są sztuki z duchami. Na przykład u Szekspira występują duchy i upiory. Będę się do tych ról przygotowywać, udając miejscowego ducha. Albo taką, co się ducha zlekła.

Nagle przystanąła na ścieżce parkowej i zaczęła się trząść. Chwyła Antka za rękę i dzwoniąc zębami, powtarzała:

– Boję się... Boję... On był straszny. Świeciły mu się oczy, miał na sobie białą, powłóczystą szatę, która się rozwiewała od wiatru i ukazywała szkielet... Widziałam trupią czaszkę...

– Gdzie? Co? – zaniepokoił się Antek.

Poklepała go po plecach.

– Nie bądź głupi, ja tylko udaję. Gram, rozumiesz?

– Ducha trudniej zagrać – powiedział Antek.

– A tak – zgodziła się Zosia – ale należy spróbować. – Po chwili dodała: – Jak tu strasznie w tym parku...

Antek pokręcił głową. Nie wiedział, czy ona znowu gra, czy rzeczywiście park wydaje jej się straszny.

W przekonaniu Antka, w parku było po prostu bardzo nieprzyjemnie. Otaczała ich ciemność tak gęsta, że nie widzieli się wzajemnie i, idąc krętą ścieżką, wciąż musieli trzymać się za ręce. Znali dobrze tę drogę, za dnia, a nawet nocą wiele razy tędy chodzili. I dlatego mimo mroku wiedzieli, kiedy ominąć pień drzewa, krzak, wielki kamień. Ktoś inny już po wielekroć przewróciłby się i podrapał o krzaki albo rozbił sobie głowę o drzewo. A oni raz tylko wleźli w grabowy żywopłot. Wiedzieli, że tuż za żywopłotem rozciąga się gazon przed frontowym wejściem do dworu. Gazon należało ominąć, potem przechodziło się obok na wpół zrujnowanej oficyny. Dalej znowu biegła ścieżka między krzakami i drzewami. Skraj parku był jednak już blisko, a za nim asfaltowa szosa i most na rzece.

Doszli do gazonu przed dworem. Dął silny wiatr, mżyło. Drzewa huczały groźnie. Chwilami, gdy wiatr stawał się porywisty, przez park przetaczał się łoskot, jakby to nie szosa biegła jego skrajem, a tor kolejowy z pędzącym pociągiem.

Po kilku krokach ciemność rozjaśniła się nieco, bo wyszli spo między drzew. Otworzył się przed nimi pusty gazon i trochę rozbieliły mrok jasne ściany starego dworu.

– Jak on się nie bał mieszkać sam w takim wielkim domu – szepnęła Zosia.

– Przyzwyczyił się – powiedział Antek, który bardzo chciał, aby uważano go za człowieka rozsądnego. – Zresztą w oficynie mieszka przecież stary Janiak. O, widzisz, pali się u niego światło.

Zobaczyła malutkie okienko, rozjarzone czerwonym blaskiem, i poczuła się raźniej. Nieoświetlona bryła starego dworu wydawała jej się groźna i martwa, ale światełko w pobliskiej oficynie przydawało nieco życia tej ponurej scenerii.

– A on się nie boi? – spytała.

– Janiak? Co ty wciąż o strachach! – zniecierpliwiał się Antek.

– Ja się boję starego Janiaka. On wygląda tak... niesamowicie – namyślała się chwilę, szukając właściwego określenia.

– E, tam – lekceważąco rzekł Antek. – Po prostu dziwak. Taki sam, jak był pan Czerski. A ty co? Chcesz udawać ducha, a umierasz ze strachu. Uważam, że nie tyle odpowiada ci rola straszącego ducha, co ducha przestraszonego.

– Cichooo – syknęła Zosia i mocniej ścisnęła go za rękę.

Ale on nic nie słyszał poza łoskotem wiatru, który głużył wszystkie inne dźwięki. O co jej chodzi? – zastanawiał się. I zaraz zrozumiał. Zobaczył światełko na piętrze starego dworu. Błyskało w pokoju, który mieścił się tuż nad frontowym wejściem. Były tam aż trzy okna i duży balkon oparty o cztery potężne kolumny, wznoszące się jeszcze wyżej i wspierające wielki ozdobny trójkąt, wieńczący front domu. Światełko błysnęło w okienku środkowym, potem w oknie na lewo, a w chwilę później przesunęło się do prawego okna. I zgasło.

– Przecież dwór jest zamknięty i opieczętowany – stwierdził Antek.

– Tttaaak... – wyjąkała Zosia. Dygotała i zęby jej dzwoniły. Ale tym razem nie udawała strachu.

– Złodzieje! Ktoś zakradł się do dworu! – zawołał Antek. Chwycił mocniej Zosię za rękę i pociągnął ją w stronę oficyny. – Trzeba zawiadomić Janiaka.

– To nie złodzieje, tylko duch – pojękiwała Zosia.

Wpadli do kamiennej sieni. Załomotali do jedynych tam drzwi.

– Proszę pana! Proszę pana! Złodzieje! – krzyczał Antek.

Drzwi otworzyły się natychmiast. Na progu małej izdebki stał brodaty, zgarbiony mężczyzna z wielką szopą siwych włosów na głowie.

W niechętnym milczeniu wysłuchał chaotycznej opowieści Antka o świetelku, które widzieli na piętrze dworu. Potem zapalił naftową latarnię i w takim samym ponurym milczeniu wyszedł z domu. We trójkę obeszlą cały dwór, oglądając drzwi frontowe i kuchenne, a później zamknięte okiennice. Wszędzie widniały nie naruszone, przyklejone starannie paski papieru z pieczęciami Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Dopiero teraz, po raz pierwszy, odezwał się Janiak. Powiedział krótko swoim skrzypiącym, chrapliwym głosem:

– Śniło się wam, dzieciaki...

A przecież i Zosia, i Antek widzieli wyraźnie to świetelko. Jakby ktoś z palącą się świecą albo latarką elektryczną krążył po pokoju na piętrze. Ale jak o tym przekonać Janiaka?

– Może to był duch... – nieśmiało szepnęła Zosia.

Janiak spojrzał uważnie na Zosię, a potem na pograżony w ciemnościach stary dwór.

– Tam była biblioteka pana Czerskiego. Całe wieczory i noce w niej przesiadywał.

– I co? Co pan myśli? – dopytywała się Zosia.

– Może przesiaduje w niej nadal? – zachrypiął Janiak. A Zosia znowu zatrzęsała się ze strachu.

Antek usiłował być rozsądny.

– Duchów nie ma – powiedział. Ale w jego głosie nie było wielkiego przekonania. Bo wciąż otaczał ich groźnie huczący park i mrok. I pamiętał o świetelku, które przecież widzieli, a które nie miało prawa tam się palić, bo dwór był niezamieszkanym i opieczętowanym.

– Więc wam się tylko śniło to świetelko – rzekł Janiak. – Bo duchów nie ma. Idźcie do domu, dzieciaki – burknął.

Zbliżył latarnię do twarzy, uniósł szkiełko i zdmuchnął.

Poszedł zaraz do mieszkania, a oni wzięli się za ręce i prawie biegiem pędzili ścieżką do skraju parku. Bezlistne gałęzie chwytaly ich za rękawy, chłostały po twarzach, a oni wciąż pędzili, ani na chwilę nie zwalniając kroku.

Zadyszani przystanęli na szosie. Zobaczyli pobłyskujące wesoło okna w domu wczasowym nad rzeką. Antek poczuł, że znowu wraca mu rozsądek.

– Chciałaś ducha i masz ducha – oświadczył z pretensją w głosie, jakby to Zosia była winna przygodzie w parku.

Nic się nie odezwała. Słyszała za swoimi plecami ponuro huczący park. Z pewnej odległości, gdy ciemność pochłoneła drzewa, wydało jej się, że goni ich jakiś groźny głos, dobywający się z głębi ziemi, z mroku.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niespodziewane wezwanie – Dziwna para młodych ludzi – Niespodzianka – Konfrontacja – Samochód czy karawan? – Podróż do Janówki – Kim jest Pan Samochodzik? – Spotkanie ze starym dworem – Pierwsza noc i pierwsza przygoda – Czy wierzę w duchy?

Pod koniec listopada 1967 roku wezwano mnie do Departamentu Muzeów i Ochrony Zabytków w Ministerstwie Kultury i Sztuki w Warszawie.

Wysoko postawiona osoba, która chciała ze mną rozmawiać, była akurat zajęta i kazano mi zaczekać w obszernym holu. Oczekiwało tam sporo interesantów, znalazłem jednak wolne krzesło w długim szeregu zajętych foteli. Usiadłem i przekonany, że długo wypadnie mi tu przebywać, zapaliłem papierosa.

Z nudów obserwowałem innych interesantów, nikogo z nich zresztą nie znałem. Potem bezwiednie zaczął mi wpadać w ucho szmer prowadzonej obok rozmowy.

W najbliższym moim sąsiedztwie rozsiadł się w fotelu młody człowiek, lat chyba dwudziestu dwóch, w czarnym, grubym swetrze i z długimi jak u dziewczyny włosami. Włosy te miał w wielkim nieładzie i chyba od dawna niemyte, bo polepiły się w grube strąki. Podobnie niechlujnie wyglądał jego zarost, gdyż młody człowiek miał coś w rodzaju brody, a raczej zapowiedź brody: rude kępki na policzkach i na szyi. Napisałem: rozsiadł się, lecz właściwiej byłoby określić: rozwalił się w fotelu, niemal w nim półleżał,

zwrócony twarzą do dziewczyny, która zajmowała fotel obok. Miała chyba również nie więcej niż dwadzieścia dwa lata, ale w przeciwieństwie do swego sąsiada była starannie ubrana i uczesana. Włosy miała jasne, krótko obcięte. W białej bluzeczce i ciemnej spódniczce wyglądała jak pensjonarka. O ile znam się na urodzie kobiecej – wydaje mi się, że była bardzo ładna.

– ...Taka placówka nadaje się dla ludzi młodych – mówił niechlujny młodzian. – Któremuś z nas, mnie albo tobie, powinni dać kierownictwo. Ale nie dadzą. Przekonasz się, że nie dadzą...

Nie podsłuchiwałem ich rozmowy, ale mówili dość głośno. Ich słowa wpadały mi w uszy.

– Wiem, że nam nie dadzą – skinęła głową dziewczyna. – Już mają kierownika. Będzie nim jakiś facet z prowincjonalnego muzeum. Studia pewnie skończył już dawno i to, czego się nauczył, zdążył zapomnieć. A tę placówkę trzeba będzie organizować od podstaw. Potrzebny jest do tego wybitny fachowiec albo tacy jak my: dopiero po studiach, ze świeżą wiedzą, z nowymi metodami pracy.

– Dali mu to stanowisko przez protekcję. Ma plecy w Warszawie – mruknął młodzieniec. – Znasz bliżej tego faceta?

– Nie. Ale ktoś mi o nim mówił. Podobno z trudem przebrnął przez historię sztuki na uniwerku, pracę na prowincji też dostał przez protekcję, a teraz jego protektor znowu winduje go na samodzielne stanowisko. Ech, niektórzy to mają szczęście. Nie tak jak my, młodzi, którzy własnymi siłami musimy dojść do wszystkiego...

Tak, tak – pomyślałem ze smutkiem. – Zdarzają się takie historie...

– Czy to facet młody, czy stary? – zapytał młodzieniec.

– W średnim wieku. Kawaler.

– To możesz się koło niego zakręcić, wyjść za mąż i zostać panią kierowniczką – złośliwie zachichotał młodzieniec.

– Pewnie brzydki jak noc – odpowiedziała dziewczyna.

Nie słuchałem dalej, bo do holu weszła sekretarka wysoko postawionej osoby i poprosiła mnie do gabinetu. Szedłem na to spotkanie z ogromną radością, niedawno przeżyłem arcyciekawą historię, związaną z odzyskaniem zbiorów dziedzica Dunina, skarbami templariuszy i pamiętnikiem hitlerowskiego zbrodniarza, odnalazłem także drugi egzemplarz złotego dukata Władysława Łokietka. Spodziewałem się, że wysoko postawiona osoba zleci mi teraz rozwiązanie nowej interesującej zagadki i przeżyję kolejną wspaniałą przygodę.

Dyrektor Marczak przywitał się ze mną bardzo serdecznie i posadził mnie w miękkim fotelu przed swoim biurkiem. Sekretarka podała czarną kawę, rozmowa zapowiadała się coraz przyjemniej.

– Czy słyszał pan o jakimś Joachimie Czernskim? – zapytał.

– Nie, panie dyrektorze. . .

– Nie dziwię się. Nie była to osobistość znana w świecie historyków sztuki i muzealników. Nie był to nawet żaden naukowiec, a po prostu amator. Przed wojną, proszę pana, prowadził antykwariat z książkami przy ulicy Świętokrzyskiej w Warszawie. Dorobił się trochę na tym interesie i przed samą wojną kupił od hrabiego Bruśnickiego, znanego karciarza i hulaki, jego dwór z parkiem i trzydziestoma hektarami ziemi. Miał trochę starych mebli, obrazów i tym podobnych, które umieścił w tym dworku. Potem wybuchła wojna, antykwariat zburzony został podczas powstania warszawskiego, i Joachim Czernski osiadł już na stałe na wsi. Żył bardzo skromnie, z dzierżawy tych trzydziestu hektarów. Jak pan wie, w Polsce Ludowej parcelowano tylko majątki powyżej pięćdziesięciu hektarów, więc jego posiadłość ominęła reforma rolna. Zapewne z nudów obudziły się w Czernskim pasje naukowe, napisał pracę o polskich ekslibrisach,

później zaś usiłował opublikować jakiś przyczynek do dziejów wolnomularstwa w Polsce w dziewiętnastym wieku. Jednym słowem – dziwak, ale takich jest wielu w naszej branży. Pan oczywiście nie domyśla się, dlaczego panu o tym opowiadam?

– Nie, panie dyrektorze. Ale słucham uważnie.

– Otóż Joachim Czerski umarł przed tygodniem, a że nie miał krewnych, jego dworek i zbiory przechodzą na własność państwa. Dwór jest zabytkowy, z dziewiętnastego wieku. Otacza go również zabytkowy park, pełen starych lip i dębów. Władze powiatowe i wojewódzkie bardzo chcą, aby dworek Czerskiego stał się muzeum regionalnym, a jego zbiory były zaczątkiem muzealnej kolekcji i ekspozycji. Pan jeszcze się nie domyśla, do czego zmierzam?

– Nie, panie dyrektorze.

– Dwór opieczętowano. Ale nie może to trwać w nieskończoność. Trzeba dokonać fachowej inwentaryzacji zbiorów i należy tam posłać człowieka, który obejmie funkcję przyszłego kierownika i kustosza nowo powstającego muzeum. A tym człowiekiem będzie pan, panie Tomaszu...

Poderwałem się z miękkiego fotela.

– Ja? Ależ ja nie potrafię... Nie umiem – bąknąłem. – Zawsze zajmowałem się rozwiązywaniem zagadek historycznych... Jestem chyba kiepskim organizatorem, nie mam wprawy...

Dyrektor Marczak nie podjął dyskusji. Wysunął szufladę w swoim biurku, wyjął z niej nieduży arkusik papieru i podał mi go:

– Tu jest pańska nominacja na stanowisko kustosza oraz wszelkie pełnomocnictwa do zorganizowania muzeum w Janówce, bo tak się ta miejscowość nazywa.

– Ależ ja nie potrafię. Może ktoś inny lepiej się będzie do tego nadawał? Mnie interesują zagadki, poszukiwania...

Dyrektor Marczak niecierpliwie zabębnił palcami po biurku.

– A ja panu mówię – powiedział z naciskiem – że nikt inny, tylko w ł a ś n i e p a n jest potrzebny w Janówce. A teraz zaprezentuję panu współpracowników.

Zadzwoił na sekretarkę i kazał jej poprosić do gabinetu panię Barbarę Wierzchoń i pana Bigosa (takie nazwiska wymienił sekretarce).

– To młodzi ludzie, dopiero po studiach – wyjaśnił. – Mam nadzieję, że przy panu staną się dobrymi muzealnikami.

Sprawdziły się moje najgorsze obawy: do gabinetu weszła schludnie ubrana panienska i niechlujny młodzian, czyli panna Wierzchoń i pan Bigos. Ja zaś okazałem się tym tępym nieukiem, który wszystko w życiu zawdzięczał protekcji.

– Przedstawiam wam przysłego kierownika muzeum w Janówce – powiedział dyrektor Marczak.

Obydwoje obrzucili mnie niechętnym spojrzeniem. Chyba nie domyślali się, że słyszałem ich rozmowę, bo nie zauważyłem na ich twarzach ani odrobiny zmieszania. Tylko wyraźną niechęć.

– A teraz do dzieła – oświadczył dyrektor Marczak. I zwrócił się do mnie: – Kiedy nastąpi wyjazd na nową placówkę?

A ja, choć jeszcze przed chwilą chciałem się bardzo bronić przed wyjazdem do Janówki, teraz powiedziałem, zaciskając usta:

– Kiedy wyjazd? Natychmiast, panie dyrektorze.

– Co? – oburzył się Bigos. – Ja nie mogę tak od razu jechać. Mam w naprawie moją gitarę.

– To pojedzie pan bez gitary – odrzekłem.

Dyrektor Marczak z zadowoleniem zatarł ręce:

– To lubię. To bardzo lubię. Z kopyta do nowych zadań. Wnioskuje z tego, że ci młodzi ludzie nieźle zaprawią się do pracy pod pana kierownictwem.

Młodzi ludzie wymienili między sobą tak wymowne spojrzenia i tak wymowne było wzruszenie ramion, które zademonstrowała panna Wierzchoń, że jeszcze mocniej zacisnąłem usta.

– Mój samochód czeka przed ministerstwem. Daję państwu dwie godziny na zapakowanie się i zlikwidowanie swoich spraw. Jeśli ktoś z państwa nie może dziś wyjechać, proszę przyjechać jutro pociągiem do Janówki. Z dniem jutrzejszym o godzinie ósmej rano rozpoczynamy urzędowanie.

– Od stacji kolejowej do Janówki jest, zdaje się, około pięciu kilometrów pieszego marszu – wtrącił dyrektor.

– W takim razie będę tu za dwie godziny – pośpieszył z zapewnieniem Bigos.

– Ja też przyjdę z walizką – rzekła panna Wierzchoń.

– To lubię. To bardzo lubię – dyrektor znowu zatarł ręce. – Wnioskuje z tego, że pierwsze lody zostały przełamane.

A ja pomyślałem: Między nami wyrosła góra lodowa, Antarktyda. I pożegnałem się z dyrektorem Marczakiem. Potem poszedłem do sklepów i dokonałem kilku sprawunków. Punktualnie po dwóch godzinach zająłem miejsce w swoim dziwnym wehikule, który stał zaparkowany przed ministerstwem.

Panna Barbara zjawiała się z pięciominutowym opóźnieniem. Już z daleka widziałem, jak szła ulicą, objuczona dużą walizką. W pobliżu ministerstwa zaczęła przystawać co kilka kroków, zapewne zastanawiając się, który to z parkujących przy krawężniku samochodów jest moją własnością. A stało tam kilka wartburgów, moskwiczy i piękny opel rekord. Raptem panna Basia zobaczyła mój pokraczny wehikuł i mnie za jego kierownicą. Coś jakby straszliwa odraza odmalowało się na jej twarzy.

– Co to jest? – wyjąkała, gdy wyszedłem i otworzyłem drzwiczki, aby ją wpuścić do wnętrza.